17 stycznia 1945 r. jednostki 1 armii Wojska Polskiego, nacierające ze wschodu, północy i południa, wkroczyły do Warszawy i po zlikwidowaniu rozproszonych grup nieprzyjaciela wyzwoliły miasto. Nad morzem ruin załopotały biało-czerwone flagi.

„TYGRYS" W CELOWNIKU

ZANIM JEDNAK nadszedł ten radosny dzień, trzeba było wyzwolić wiele miejscowości podwarszawskich, przepędzić hitlerowców z wideł Wisły i Bugo-Narwi, skąd właśnie jesienią 1944 r. Niemcy mogli uderzyć na tyły wojsk radzieckich i polskich.

Aby temu zapobiec, jednostki polskie w dniu 27 października 1944 r. o świcie ruszyły do natarcia w kierunku na północ od Pragi. Przed południem dotarliśmy do samych niemal zabudowań Jabłonny. Tu nastąpiła krótka przerwa w działaniach. Nasz pluton, liczący dwa działka przeciwpancerne, zatrzymał się na niedużym wzniesieniu...

Czytaj dalej na str. 4 — 5

DOKARMIAJMY PTAKI!

**Każdy, kto jest życzliwy ptakom,
każdy, kto ptaków nie unika,
wie, że jest kiepska śpiewu jakość,
gdy ptakom strawy brak w karmnikach.**

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 5 (1683) Warszawa, wtorek, 16 stycznia 1968 r. Cena 50 gr.

W imprezie wzięli udział popularni piosenkarze: Jerzy Połomski, Irena Santor, Rena Rolska i inni. Zawodniczkom szczególnie przypadła do gustu Marta Martelińska. A o jaką imprezę chodzi — patrz str. 3.

Foto W. HUDON

CHŁOPCY POWINNI OPIEKOWAĆ SIĘ DZIEWCZĘTAMI

JESTEŚMY stałymi czytelniczkami „Klubu Nastolatków", w którym poruszane są różne tematy. My pragniemy poruszyć problem odprowadzania dziewcząt przez chłopców. Otóż mieszkamy na wsi, oddalonej o 5 km. od dość dużego miasta. Czasem zdarza się, że musimy wracać do domu wieczorem, po osiemnastej.

Nasi koledzy, widząc, że wracamy same, starają się nam pomóc i odprowadzają nas. Ale możecie sobie wyobrazić jak to jest na wsi — od domu do domu idzie zaraz plotka, że chodzimy z chłopcami, czego nie powinny robić „grzeczne dziewczynki". Jedni mówią, że widzieli nas z kolegami o godz. 19.30. Drudzy dokładają godzinę i podają dalej, że to było o 20.30. Ludzie uważają zwykłych kolegów za „narzeczonych", o czym my nawet nie myślimy.

Może byśmy podyskutowali na ten temat na łamach „Świata Młodych" i odpowiedzieli sobie wspólnie na pytanie: „Czy, gdy chłopiec odprowadzi 15-letnią koleżankę do domu, to popełnia WIELKI BŁĄD, a jednocześnie podważa jej autorytet na wsi?" Chyba nie!

Nam się wydaje, że gdy kolega odprowadzi koleżankę do domu, to świadczy to jedynie o jego grzeczności wobec dziewcząt. (bs.)

MAŁGORZATA I MAGDA
ZNAD WISŁY

Uważamy, że chłopiec nie tylko może, ale często nawet powinien odprowadzić dziewczynę do jej domu. Dla nas — podobnie jak dla Małgorzaty i Magdy — sprawa ta jest zupełnie jasna i oczywista.

Rycerskim obowiązkiem chłopca jest opieka nad dziewczyną, odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo. Nie tylko na szosie, po ciemku, ale RÓWNIEŻ WE WSZYSTKICH INNYCH OKOLICZNOŚCIACH W JAKICH SIĘ RAZEM ZNAJDĄ.

Wiemy jednak dobrze, że odprowadzanie — odprowadzaniu i opieka — opiece nie równa. I o tym już chyba warto w Klubie podyskutować. Zapraszamy do zabierania głosu!

KĄCIK KAROLINKI

„PS. Co się nosi w Warszawie???"

PS — znaczy post scriptum, czyli — po piśmie, i takiego PS nie umieszcza się nigdy na początku, tylko na końcu, ale ja musiałam zrobić to w odwrotnym porządku, czyli na początku, bo to jest cytat. Cytat z listu jednej z moich miłych Czytelniczek i ja na to pytanie muszę koniecznie odpowiedzieć, bo jak nie odpowiem, to te trzy znaki zapytania postawione na końcu pytania będą mi się śniły przynajmniej przez następne trzy kwartały.

W Warszawie nosi się kwiaty. Kwiaty pod pomniki, jako że 17 stycznia jest rocznica wyzwolenia Warszawy. A w Warszawie — nosi się kwiatki przy ubraniu, jako że kwiatki robią w czasie tej zimy zawrotną karierę.

Przekorne warszawianki wbrew powiedzeniu „pasuje jak kwiatek do kożucha" ozdabiają sobie klapy zimowych okryć sztucznymi kwiatkami, dziewczęta noszą kwiatki przy wełnianych pilotkach, a panny, zapraszane na karnawałowe prywatki, wyglądają zupełnie jak ogrodowe rabatki.

Ponieważ jest to moda ładna, wesoła i wiosenna, bardzo was na nią w tym zimowym sezonie namawiam i prezentuję rysunki kilku modeli zaobserwowanych na różnych warszawskich prywatkach.

A oto opisy:

Model nr 1 — gładka wełniana sukienka, zmieniona do niepoznania obróżką z kwiatków naszytą na golfowym kołnierzu. Kwiaty wycięte są z filcu. Sukienka, którą widziałam, była ciemnozielona, a kwiaty jasnoróżowe.

Model nr 2 — granatowa spódniczka i biała bluzka nabiera odświetnego charakteru, jeśli przypniemy do kołnierzyka bukiecik sztucznych różyczek.

Model nr 3 — włosy uczesane w koński ogon, podpięte sztucznymi stokrotkami i takie same stokrotki przyszyte wianuszkiem dookoła całej sukienki na dole.

Model nr 4 — jeszcze jeden pomysł na zrobienie z codziennej sukienki kreacji o charakterze wizytowym — aksamitny pasek, zakończony bukiecikiem sztucznych kwiatów.

A teraz nie pozostaje mi chyba nic innego, jak tylko życzyć wszystkim pannom miłej prywatki w kreacji w kwiatki i wielu kwiecistych komplementów od wszystkich tancerzy.

KAROLINKA

PS. Przy okazji pozdrawiam bardzo serdecznie Czytelniczkę, która pytała mnie o to, co się nosi w Warszawie i odpowiadam, również teczki do szkoły... Ale to już zupełnie inna historia.

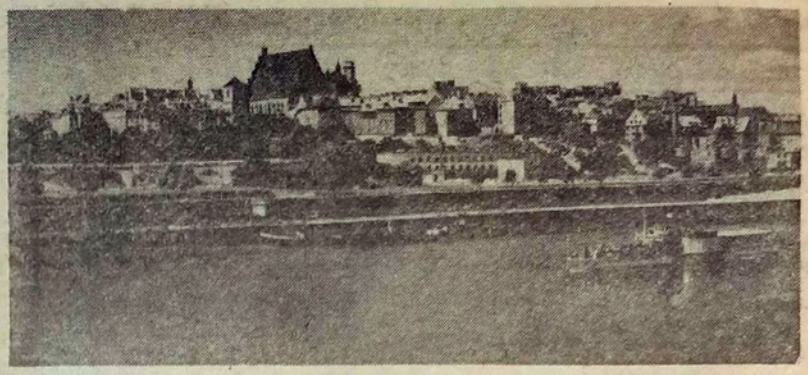

„STAROWKA — TO SIWE PASMO W UBIORZE NOWEJ WARSZAWY — TO FAŁD MĄDROŚCI NA JEJ MŁODYM CIELE". — Tak napisano o warszawskim Starym Mieście w radzieckim czasopiśmie „Litieraturnaja Gazieta", w artykule poświęconym naszej stolicy. Prawda, że piękne i bardzo poetyczne jest to zdanie...

44-letni chirurg z Kapsztadu — profesor Christian Barnard — (na zdjęciu z córką) swoją pierwszą sensacyjną operacją zadziwił cały świat.

OPERACJA KTÓRA ZADZIWIA ŚWIAT

PRZERAŹLIWY PISK HAMULCÓW... W następnej chwili wpadają na siebie dwa samochody osobowe. Zderzenie jest tragiczne. Z jednego rozbitego samochodu policjanci wyciągają dwie kobiety. Jedna nie daje żadnych znaków życia — druga, młoda, 25-letnia Denise Darvall, oddycha jeszcze...

Chirurg szpitala w Kapsztadzie (Płd. Afryka) — profesor Christian Barnard skończył swój dyżur na sali operacyjnej i zamierza odwiedzić pacjenta, Louisa Washkansky'ego, który leży obok, w seperatce. Od wielu tygodni nie wstaje już z łóżka. Jest beznadziejnie chory na serce i lekarze w każdej minucie spodziewają się kryzysu. Mężczyznę może jeszcze uratować jedna operacja. Operacja niezwykła. Gdyby udało się jego beznadziejnie chore serce zastąpić innym sercem — zdrowym sercem innego człowieka?

Dziś, kiedy czytacie te słowa, wiecie już pewnie, że nieuleczalnie chory Washkansky otrzymał nowe, zdrowe serce. Chirurgiem, który dokonał tej sensacyjnej — pierwszej w świecie — operacji przeszczepienia serca — był właśnie prof. Christian Barnard, ze szpitala w Kapsztadzie. Choremu Washkansky'emu dała serce Denise Darvall. Jej ojciec nie wniósł sprzeciwu, kiedy w kilka minut po jej śmierci w szpitalu stanął przed nim profesor Barnard i powiedział z przejęciem:

— Proszę pana. Córka przed chwilą zmarła. W naszym szpitalu przebywa człowiek beznadziejnie chory na serce. Mógłbym jednak podjąć operację. Serce pańskiej zmarłej córki może przywrócić mu jeszcze zdrowie...

Ojciec odpowiedział... tak! Operacja przeszczepienia serca — niezwykle trudna i skomplikowana — udała się. Chory Washkansky poczuł się lepiej. Żył z nowym sercem 18 dni. Zmarł w wyniku innych powikłań chorobowych.

Kiedy oddajemy ten numer do druku, żyją z cudzymi sercami w piersiach dwaj inni pacjenci: Mike Kasperak (w Kalifornii) oraz drugi pacjent dra Barnarda — Filip Blaiberg. Czy te kolejne operacje przyniosą pełny sukces medycynie? Jeszcze nie wiadomo. Obcy przeszczep bardzo trudno przyjmuje się w nowym organizmie. Walka o ich życie trwa! Ale jedno jest już pewne. Każda następna operacja przybliża sukces. Wielki cel medycyny — zwalczenie jednej z głównych chorób XX wieku, a mianowicie chorób serca — wkracza w nowy, sensacyjny i wielki etap.

Z. PAWŁOWSKI

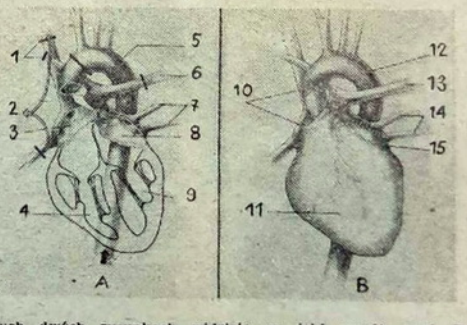

Na tych dwóch rysunkach widzicie, w jaki sposób prof. Barnard przeprowadził operację wycięcia chorego serca (rys. a) oraz w jaki sposób przyszył nowe serce (rys. b). Rzecz jasna, operacja była bardzo skomplikowana i trudna, trwała wiele godzin i prowadził ją cały sztab lekarzy różnych specjalności.

Rys. A.
1) Klamry, 2) przewody prowadzące do sztucznego płuca serca, 3) prawy przedsionek serca, 4) prawa komora serca, 5) aorta, 6) arterie płuca, 7) żyły płucne, 8) lewy przedsionek serca, 9) lewa komora serca.

Rys. B.
10) szew, 11) przeszczepione serce, 12) aorta, 13) arterie płucne, 14) żyły płucne, 15) szew.

RĘCE doskonałe

NIBY PROSTA SPRAWA — przyszyć guziki do fartucha, wyczyścić buty, zrobić sobie drugie śniadanie. Niby prosta, ale, mówiąc szczerze — niewielu to potrafi. Bo spróbujcie na przykład wziąć igłę z nitką, czysty, biały kołnierzyk i migiem, w ciągu dwóch minut, elegancko go przyszyć. Niemożliwe? Możliwe. Widziałem!

W niedzielę 7 stycznia odbyły się w Warszawie doroczne finały ogólnopolskiego konkursu **„Ręce małe — lecz do pracy doskonałe"** — organizowanego przez Związek Spółdzielni Spożywców „Społem". Związek ten zrobił niebywały wprost ruch wśród młodych ludzi. Spójrzcie tylko na liczby. Od 1 października do 1 grudnia 1967 roku w ośrodkach Związku, które to ośrodki nazywają się **„Praktyczna Pani"**, zorganizowano 6.602 (sześć tysięcy, sześćset dwie!) prelekcje i pokazy z udziałem ponad 145 tysięcy dziewcząt i chłopców. Nie były to więc — jakby się mogło wydawać — zajęcia nudne, skoro obejrzała je tak wielka ilość zainteresowanych.

W finałach warszawskich startowało sześć najsprawniejszych rąk w Polsce. Były to — niestety — wyłącznie damskie (panowie, na honor, czy nikt z was nie potrafi konkursowo wyczyścić butów?)

Pierwsza konkurencja polegała na prezentacji przyrządzonych na miejscu kanapek i sałatek. Komisja (w której był również lekarz) oceniała wartość i estetykę konkursowego dania i przydzielała odpowiednią ilość punktów. Konkurencja druga była już bardziej nerwowa. Orkiestra zagrała oszałamiającą sambę, która trwała równo dwie minuty. Tyle właśnie czasu miały zawodniczki, by elegancko przyszyć biały kołnierzyk do szkolnego fartucha. Z zazdrością patrzyłem na ręce dziewcząt. Trzecia konkurencja — to czyszczenie butów najpierw pastą, później do połysku. Na wykonanie tej czynności — trzy minuty czasu. W zaciętej konkurencji zwyciężyła 13-letnia Romka Golas z Łańcuta, a tuż za nią uplasowała się 9-letnia Ela Cerwin z Poznania. Dalsze miejsca zajęły: Marysia Kokot z Opola, Ania Tuczapska z Hrubieszowa, Iwona Czajkowska z Łodzi i Ala Pietka z Garwolina.

W chwilę potem rozmawiałem z finalistkami. Jedna przez drugą zapewniały mnie, że koleżanki z ich szkół są tak samo sprawne i tak samo dobrze umieją przyrządzać kanapki i sałatki. Zapytałem, czy w związku z karnawałem planują jakieś zabawy w gronie kolegów i koleżanek. Finalistki odpowiedziały, że owszem, owszem i dodały, że bez osoby obeznanej w sprawach kulinarnych zabawa traci wiele na atrakcyjności, bo przecież wstyd prosić mamę o pomoc kiedy każdy młody człowiek może mieć sprawne ręce do zrobienia prostych potraw. Kiedy zapytałem jeszcze — dlaczego w finale nie ma chłopców — dziewczynki odpowiedziały, patrząc porozumiewawczo jedna na drugą, że nie wiedzą, i że same są zdziwione. Nie miałem nic do powiedzenia.

Tak więc warszawską imprezę mógłbym podsumować „Panowie, na honor! Chwyćcie szczotki, igły, zajrzyjcie do książki kucharskiej i nie dajcie się zapędzić w kozi róg". Rada o tyle jest zbawienna, że gwarantuje — zwłaszcza w okresie karnawału (ale nie tylko) — większe zainteresowanie i powodzenie u płci pięknej.

Konkurencja druga — czyszczenie butów. Robota wprost pali się w rękach.

Iwonka Czajkowska z Łodzi udziela wywiadu znanym z audycji „Zgaduj-Zgadula" — Wacławowi Przybylskiemu i Andrzejowi Rokicie, którzy prowadzili finały konkursu.

Za kulisami trwają przygotowania. Na tacach elegancko ułożone kanapki czekają na ocenę komisji.

Komisja pracuje. Komu by tu przyznać pierwsze miejsce.

Tekst i zdjęcia W. HUDON

SAMI BUDUJĄ SAMOLOT

◆ **DWAJ łódzcy entuzjaści lotnictwa — jeden mechanik Aeroklubu, a drugi pilot szybowcowy — sami budują samolot. Ta jedyna w swoim rodzaju konstrukcja powstaje w mieszkaniu. Gotowy już jest silnik, do którego budowy użyto dwóch silników motocyklowych od „MZ-tki" oraz kabina. Samolot, jak zapowiadają jego budowniczowie, gotów już będzie wiosną tego roku.**

Inny członek łódzkiego Aeroklubu buduje dla odmiany samochód z wraków samolotów przeznaczonych na złom...

„TRÓJKA DZIEWCZĄT — DOOKOŁA ŚWIATA"

◆ **TRZY dziewczyny (dwie Szkotki i Niemka) wyruszyły samochodem w podróż dookoła świata trasą liczącą 72 tysiące km. Ostatnio dotarły do Panamy, kończąc tam pierwszy etap podróży. Dotychczasowa trasa biegła z Kanady przez Stany Zjednoczone. Dalsza droga będzie wiodła przez Amerykę Łacińską, po czym dziewczęta przeprawią się statkiem przez Atlantyk do Afryki, a stamtąd przez Bliski Wschód do Europy. Ich pojazd „Land Rover" ozdobiony jest napisami w języku angielskim i hiszpańskim „Trójka dziewcząt — dookoła świata".**

PRZEZ RZEKI I OCEANY

◆ **Pięciu mieszkańców Kijowa przebyło 10 tys. km w łódce rybackiej, podróżując rzekami syberyjskimi i trasą po Oceanie Lodowatym. Podróż rozpoczęli na Dnieprze, a zakończyli na Oceanie Spokojnym. Żeglowali po Oce, Dźwinie, Oceanie Lodowatym, Jeniseju i Amurze.**

Na Oceanie Lodowatym członkowie ekipy w piankowych skafandrach płetwonurków zanurzali się na głębokość 40 m, przy temperaturze 5—6 stopni Celsjusza, dokonując zdjęć podwodnego świata.

Ciąg dalszy ze str. 1

„TYGRYS" W CELOWNIKU

Przygotowaliśmy działka do boju, chociaż, prawdę mówiąc, nie bardzo wierzyłem, że Niemcy są w stanie nam zagrozić. Od rana bowiem cofali się, nie stawiając oporu, dlaczegoż więc teraz mieliby się „odgryzać". Ale wojna jest po to, aby żyć okopy — mawiał często nasz amunicyjny Staszek Szałecki — więc okopaliśmy się.

Wokoło panowała cisza, jakby nie było wojny. Siedząc przy dziale pogrążyłem się w zadumie...

Z zamyślenia wyrwał mnie nagle czyjś przeraźliwy okrzyk:

— Czołgi!!!

— Obsługi, do dział! — rozkazał dowódca plutonu. — Przeciwpancernymi, ognia!

Błyskawicznie przylgnąłem do celownika i z przerażeniem stwierdziłem, że rosnąca w przodzie jodełka zasłania mi pole obstrzału.

— Nic nie widzę! — krzyknąłem w stronę dowódcy działonu.

Ten schwycił siekierkę, wyskoczył przed działo i... upadł jak długi. Przedtem zdążył jednak ściąć odełkę. Czołgając się do tyłu, zostawiał na piachu ślady krwi.

— Co się stało? — spytałem.

— Dostałem w nogę — odrzekł cicho.

Spojrzałem w celownik. Spoza budynków wysunął się ciężki czołg typu „Tygrys" i trzy działa pancerne. Z tyłu, kryjąc się za wozami bojowymi, szli niemieccy piechurzy.

— Ładuj! — krzyknąłem do amunicyjnego.

— Gotowe! — usłyszałem w odpowiedzi.

— Chwyciłem „Tygrysa" w siatkę celownika, określiłem odległość i nacisnąłem spust. Pocisk przeciwpancerny trafił w wieżę, odbił się rykoszetem i spalił się w powietrzu niczym biała rakieta. I wtedy uzmysłowiłem sobie, że popełniłem błąd. Zamiast, tak jak mnie uczono, strzelać w gąsienice, celowałem niepotrzebnie w wieżę. Chciałem jak najprędzej zniszczyć go, zapominając, że przód „Tygrysa" i wieża wykonane są z grubego pancerza. Z małokalibrowego działka można taki czołg zapalić jedynie z bliskiej odległości, albo gdy trafi się go w bok lub tył.

W tym czasie sąsiednie działony naszej artylerii pułkowej również otworzyły ogień. Hitlerowskie działa pancerne, bardzo wrażliwe na działanie przeciwpancernych pocisków artyleryjskich, wycofały się w pośpiechu z pola walki i znikły za budynkami. Na placu boju pozostały tylko ciężkie czołgi i piechota.

„Tygrys", do którego zdążyłem już oddać jeden strzał, sunął wprost na mnie. W pewnym momencie zwiększył prędkość i nagle — tuż przed niedużym nasypem — zatrzymał się. Odległość między nami wynosiła około czterystu metrów. „Aha, schował gąsienice" — pomyślałem. Spoza nasypu widać było bowiem tylko długą lufę i część wieży. Teraz mogłem jedynie liczyć na to, że któryś z moich pocisków trafi w jego celownik, lub, jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zdoła go zapalić. Strzelałem, a on jakby drwił sobie ze mnie. Skierował wpierw lufę w prawo, wystrzelił w stronę działa baterii pułkowej, potem w lewo, gdzie również znajdowało się stanowisko ogniowe. Na ogień mego działa w ogóle nie reagował.

Byłem wściekły i zarazem bezsilny. Każdy mój strzał był celny i za każdym razem pocisk uderzał rykoszetem o skośną powierzchnię wieży. Raz po raz od czołgu odbijały się jedynie białe iskrzące smugi i znikały w przestrzeni.

W pewnym momencie spostrzegłem, że potężna lufa „Tygrysa" wolniutko obraca się w moją stronę. Zatrzymała się na wprost mego działa. Umysł mój pracuje intensywnie. Myślę, co można by jeszcze zrobić, jak zapobiec temu, co nieuchronnie za chwilę nastąpi. Strzelać? A może nie widzi mnie i wystrzał zdemaskuje tylko niepotrzebnie lokalizację stanowiska ogniowego? Ostrzec kolegów? Skryć się w okopie? Nie, muszę obserwować każdy ruch faszysty.

Nagle spostrzegłem wydostający się z lufy błysk. Huku w tym momencie jeszcze nie słyszałem.

Rys. W. Lewiński

— Kryj się! — wrzasnąłem w stronę kolegów i instynktownie skoczyłem głową w dół do okopu. Rozległ się potężny huk, trzask łamanych gałęzi, gwizd odłamków. Zamarłem w oczekiwaniu. Czuję zapach prochu, słyszę odgłos spadających na ziemię gałęzi. Wiem już, że nie trafił w działo. W przeciwnym bowiem razie siła wybuchu rzuciłaby je na okop. Czekam, co będzie dalej. Według wszelkich prawideł powinien za chwilę wystrzelić ponownie. Wystrzału jednak nie było...

W pewnym momencie ktoś szarpnął mnie za wystającą nad okopem nogę:

— Żyjesz?

Poruszyłem się, stwierdziłem z zadowoleniem, że nie jestem ranny i uniosłem głowę. Nad okopem stał pochylony dowódca plutonu.

Fot. W. Hudon

PLEBISCYT GŁOWNEJ KW... I „ŚWIATA MŁODYCH" – R...

NASI CZYTELNICY ZA NOWYMI ODZNAKAMI STOPNI HARCERSKICH

W 99 numerze „Świata Młodych", z dnia 12 grudnia 1967 r., zwróciliśmy się do was z pytaniami w sprawie odznak stopni harcerskich. W Plebiscycie wzięło udział 1963 uczestników i większość z nich nie tylko starannie odpowiedziało na wszystkie pytania, ale również szczegółowo uzasadniło swoje stanowisko. Wielu uczestników Plebiscytu przysłało własne rysunkowe propozycje. Wszystkim bardzo serdecznie dziękujemy za udział.

A TERAZ WYNIK NASZEGO PLEBISCYTU:

511 — głosów padło za dotychczasowymi odznakami stopni harcerskich,

1221 — uczestników głosowało za nowymi,

446 — było za dowolnym kolorem podkładek pod odznakami noszonymi na naramiennikach,

890 — za kolorem podkładek zgodnym z barwami drużyny,

642 — za kolorem zgodnym z dotychczasowymi barwami plakietek stopni,

5% — głosów zostało unieważnionych (nie spełniało warunków).

1963 głosy to ważny argument, ale nie ostateczny. Harcerstwo przecież liczy blisko 2 miliony członków. Dlatego Główna Kwatera ZHP bada również opinie instruktorów drużyn i instancji harcerskich. Dopiero po zebraniu wszystkich wypowiedzi, KG ZHP podejmie ostateczną decyzję. Oczywiście natychmiast wam ją przekażemy.

A OTO WYNIKI LOSOWANIA NAGRÓD:

RADIOODBIORNIK TURYSTYCZNY otrzymuje — **Witold Paslerb z Częstochowy**; **BUDZIKI** — **Andrzej Surowiec** — PGR Charnowo i **Jacek Arciszewski** — Poznań; **PLECAKI** — **Tomasz Palica** — Katowice, **Teresa Toczek** — Nozdrzec, **Wanda Kawalec** — Sulejówek; **TORBY TURYSTYCZNE** — **Artur Pisarski** — Szczecin, **Janusz Andrzejewski** — Wola Uhruska, **Zbigniew Pazik** — Gorzów Wlkp., **Barba-**

— Żyję — odpowiedziałem.

— To strzelamy dalej.

Wygramoliłem się z okopu i podbiegłem do celownika. „Tygrys" stał na tym samym miejscu, ale lufę skierował w prawo, w stronę szosy modlińskiej. Huknął wystrzał. „Co się stało? Do kogo on strzela?" — zastanawiałem się. I jakby w odpowiedzi, gdzieś zza krzaków, wyłonił się nasz czołg — kochany T-34 z białym orłem na wieży. Zbliżając się do „Tygrysa", strzelił w biegu. Po chwili ukazał się drugi T-34. Załoga wozu niemieckiego zorientowała się, że pojedynek z dwoma zwinnymi czołgami polskimi nie wróży jej nic dobrego. Kierowca „Tygrysa" włączył bowiem tylny bieg, cofnął się błyskawicznie i znikł tchórzliwie za murowanym budynkiem.

Spojrzałem w ślad za nim i nie mogłem sobie darować błędu popełnionego na początku walki. „Czy spotkamy się jeszcze?" — nurtowała mnie myśl. Widziałem przez celownik jego znak rozpoznawczy i dobrze go zapamiętałem.

Przeniosłem z kolei wzrok na świeżo wyrwaną ziemię. Był to ślad wybuchu hitlerowskiego pocisku rozpryskowego. Trafił w zbocze wzgórza, kilka metrów przed naszym działem. Drugi wystrzał byłby zapewne celny. Kochani pancerniacy — przybyli w samą porę. Nie wiedzą nawet, że zawdzięczam im życie.

Ale nie dla wszystkich los był łaskawy. Celowniczy drugiego działonu, kapral Ludwik Biela — zginął. Zostawił żonę i czteroletnią córeczkę. Przed natarciem wymieniliśmy adresy naszych rodzin, aby „w razie czego" zawiadomić. Musiałem spełnić ten smutny obowiązek...

I znów zapanowała cisza. Niemcy, po nieudanym kontrataku, wycofali się na uprzednio zajmowane pozycje. Lewobrzeżna Warszawa musiała jeszcze czekać na swoich wyzwolicieli. Dopiero w styczniowe popołudnie radio oznajmiło światu, że stolica Polski odzyskała wolność.

A znajomy „Tygrys"? Czy uszedł bezkarnie? Spotkałem go raz jeszcze na mazowieckiej ziemi w czasie ofensywy styczniowej. Niestety, nie zdążyłem wyrównać rachunku krzywd. Pancerniacy i tym razem byli szybsi. Pocisk dużego kalibru przebił wieżę „mojego" „Tygrysa" i rozerwał się wewnątrz czołgu. Załoga zginęła.

Ppłk. LUDWIK HOFMAN

NIEDOBRY ŚMIECH

Po szóstej lekcji, gdy mieliśmy iść do domu, lekarka zaprosiła nas do swojego gabinetu. Badała nam wzrok.

Wszyscy dobrze widzieli, ja nie. Okazało się, że nie widziałam cyfr na tablicy z odległości 6 metrów. Wtedy w gabinecie rozległ się gromki śmiech. Lekarka stwierdziła u mnie krótkowzroczność. I wtedy za moimi plecami rozległy się wyzwiska: „kaleka", „ślepota" itp.

Popłakałam się, ponieważ nie myślałam, że mając krótki wzrok muszę być przezywana. I odtąd poczułam, że wszyscy w klasie są mi obcy. Nazajutrz wszyscy patrzyli na mnie krzywo. (bs)

MARYLA
stała czytelniczka

PRZYKRE WYZNANIE

Przeczytałem w Klubie Nastolatków wypowiedź Ewy. Rozumiem żal koleżanki.

Przebywałem w szpitalu długo, bo od 7 października do 7 grudnia. Przez ten czas odwiedziły mnie dwa razy koleżanki z klasy. Koledzy nie — czy są to przyjaciele? A dziewczęta przyjechały — ale za namową p. kierownika. Ładnie z ich strony, prawda?

Przez okres choroby mama przysyłała mi tematy przerabianych lekcji. (bs)

WŁADYSŁAW

KLUB NASTOLATKÓW

RODZINA Z INTERNATU

CZY PAMIĘTACIE listy Kasi i Ewy, mieszkanek internatu, które pisały w Klubie Nastolatków o swoich kłopotach wynikających ze zmiany środowiska, z nieumiejętności przystosowania się do nowego, zbiorowego życia w nowej, internatowej rodzinie?

Dziewczęta w odpowiedzi otrzymały wiele ciekawych listów od mieszkanek i mieszkańców internatów z różnych stron Polski.

CZYTELNIK z Poznańskiego, podpisujący się „An-115" — pisze: „W internacie, w miasteczku W., zamieszkałem 2 lata temu. Nowi koledzy, nowe życie. W pokoju było nas czterech: Ben, Edek, Jacek i ja. Ben pochodził z tego miasta co i ja. Edek i Jacek mieszkali gdzie indziej. Początkowo sądziłem, że jedynym bliskim kolegą będzie Ben. Pierwszy tydzień to ogromna tęsknota za domem. Nie okazywaliśmy tego, z wyjątkiem Jacka. Rano otwierał okno, płacząc wołał mamę, która była oddalona o kilkadziesiąt kilometrów. Co tydzień jeździł do rodziców na wieś. Był bardzo smutny. Wreszcie jednak nadszedł dzień, kiedy się roześmiał — było to święto dla niego i dla nas.

Z Edkiem zaprzyjaźniłem się na dobre. Latem razem chodziliśmy się kąpać. Razem na lody, razem do kina. Wszędzie razem. W myśl zasady: „Kochaj i szanuj najbliższych, a najdalsi cię polubią", zyskałem wielu innych przyjaciół. Najlepszym z nich był jednak Edek. Tak, ale „nie ten jest prawdziwym przyjacielem, który tylko chwali, ale i ten, który widzi wady". Czasem dochodziło między nami do bójek. Po bójce, to Edek, to ja wyciągaliśmy do siebie ręce na zgodę.

Edek był prymusem, a ja jednym z najgorszych uczniów. Nie podciągnąłem się w nauce. Uczyłem się jeszcze gorzej. Edek jak tylko mógł, pomagał mi. Jego praca nade mną to praca syzyfowa, bezowocna. Ale przyjacielem pozostał. Gdy odjeżdżałem na zawsze z internatu i szkoły, przyszedł na dworzec. Przyszedł z całą naszą internacką klasą. Wsiadłem do wagonu. Koledzy, jeden przez drugiego, coś wykrzykiwali w moim kierunku. Patrząc na nich zrozumiałem, że byli nie tylko „wiarą z interku", ale jakby drugą rodziną. Edek tylko powiedział: „Do zobaczenia!" i odszedł. Łzy stanęły mi w oczach. Dobrze, że pociąg ruszył.

Edek odwiedził mnie na początku września. Gdy wspominaliśmy przeżycia z internatu, płakałem jak małe dziecko..."

„AN-115"

Tak. „An-115" musiał wtedy opuścić internat. Przyczyna — liczne dwóje, które zbierał na własną klęskę. Przykre doświadczenie przyniosło mu jednak jakąś korzyść. Potrafił ocenić siebie, klasę. Dzięki temu, że nie był w internacie sam, dojrzał różnice pomiędzy sobą a przyjaciółmi, silniejszym od niego, który chciał i potrafił pracować dla siebie i dla innych.

Teraz nasz czytelnik uczy się w innej szkole. Uczy się dość dobrze. I kontroluje siebie, widzi siebie na tamtym tle, na tle Edka, którego musiał wtedy opuścić...

Powróćmy jednak do internatów, w których żyje Ewa i Kasia. Czy bariera, która rzekomo dzieli te dziewczęta od reszty grupy, jest zależna tylko od jednej strony? Naturalnie, że nie. Oto jak na sprawę tę patrzy czytelniczka z Ziębic, woj. wrocławskie.

„Kasia i Ewa poruszyły problem przełamania bariery, która dzieli je od koleżanek i kolegów. Dziewczęta te, moim zdaniem, nie są w stanie przełamać tej bariery z ich własnej winy. Mają one obecnie po piętnaście lat i, niestety, są w takich warunkach, że nie mogą przebywać razem z rodzicami. Wchodzą one w życie i usamodzielniają się w środowisku, gdzie rodzicami są nauczyciele, a rodzeństwem koleżanki i koledzy. Nie powinny odsuwać się od otoczenia. Powinny zbliżyć się do wszystkich, interesować się wspólnymi problemami, wykazać trochę własnej inicjatywy, zaimponować czymś. Mają chyba jakieś zainteresowania? A może w klasie Kasi lub Ewy znajduje się koleżanka w podobnej sytuacji i chciałaby swoimi kłopotami podzielić się z innymi. W ten właśnie sposób można znaleźć pokrewną duszę, z którą podzieli się radości i smutki.

EWA

A tak oto wygląda to wspólne, mile przecież i pełne uroków życie w internatowej rodzinie, gdy się nie stwarza problemów, gdy się ma wiele dobrej woli i chęci, aby nam było dobrze z naszymi najbliższymi i aby nasi najbliżsi nie odczuwali, że są sami. Dowodem tego jest następny list:

„Dziewczynki pisały, że nie mogą przyzwyczaić się do życia w internacie. Ja też mieszkam w internacie, w Rybniku, i jest mi wcale dobrze. Wszyscy żyjemy w zgodzie, a poznaliśmy się już po dwóch, trzech dniach. Internat w 90 procentach zastępuje mi rodzinny dom. Mieszkamy we czterech. Kiedy zgasimy światło, opowiadamy sobie różne przeżycia, przeczytane książki, a Stefan często snuje opowieści o partyzantach, którzy walczyli w jego rodzinnej Kieleccyźnie".

S. K. Z RYBNIKA
(oprac. B. Skórska)

WATERY ZHP

OZWIĄZANY

...a Magdziak — Poznań, Henryk Kupiec — Bytom; DŁUGOPISY — Marek Roś — Brzeziny, Jolanta Felisiak — Zgorzelec, Barbara Dębińska — Łódź, Stanisław Malik — Bolesławiec, Nikodem Antosik — Przyrownica, Barbara Furczyk — Kraków, Małgorzata German — Tarnów, Mirosław Grochowski — Czechy 34, Tadeusz Szczygieł — Lublin, Kazimierz Jędras — Czarna Tarnowska, Małgorzata Budzyńska — Siemirowice, Tomek Matysiak — Szczyglice 70, Zenon Olkowski — Warszawa, Piotr Kleszcz — Nowa Wieś 86, Piotr Łobodziński — Drogomyśl.

Wśród autorów oryginalnych pomysłów rozlosowano dodatkowe nagrody:

Alicja Nawrot — Karnieszewice — PUDŁO FARB; Ryszard Kocieluch — Balków — KOMPLET KREDEK; Sylwia Krzywdzińska — Warszawa — DŁUGOPIS.

Ponadto Główna Kwatera ZHP wyraża specjalne podziękowanie i przesyła dodatkowe wyróżnienie (album fotograficzny pt.: „Harcerstwo") Komendzie Hufca ZHP we Włocławku i 71 DH z Rejowca Poznańskiego za zbiorowe opracowanie odpowiedzi na Plebiscyt.

Nagrody zostaną wysłane pocztą.

GWIZDANA MOWA

● W Pirenejach żyją ludzie, którzy na znaczną odległość potrafią się ze sobą porozumiewać przy pomocy gwizdania. Szczególnie celują w tym mieszkańcy wioski Bearn, liczącej 150 obywateli. Fachowcy, którzy studiowali tę „gwizdaną mowę", stwierdzili, że jest to swoisty „język" o minimalnym zasobie słów, którym w przeszłości wyrazić można było wszystko. Dziś zasób tych słów jest już znacznie mniejszy, obejmuje takie frazy, jak np.: gdzie idziesz?, idę w góry, schodzisz w dół? czy zrobiłeś mi ser?, przyjdź zaraz za miną, dziś zagramy sobie w karty, która jest godzina? itp.

Gwizdana „mowa" szeroko była stosowana w okresie drugiej wojny światowej. Faszyści nie zwracali uwagi na monotonne gwizdanie, które rozlegało się po górach, ale przy jego pomocy ludzie informowali się i ostrzegali, że np. zbliżają się faszyści, albo gdzie i kiedy mają się zebrać partyzanci.

Osobliwy język, przy pomocy którego porozumiewają się pirenejscy górale, jest nadal przedmiotem studiów fachowców.

DRZEWO ŚMIERCI

● Rosnące na wybrzeżach środkowo - amerykańskich drzewo mancinella z rodziny Euphorbiacene, zwane tu ballaubukuri, należy do najsilniej trujących roślin na świecie. Przyrodnik Erazm Darwin, dziad słynnego Karola Darwina, pisał pod koniec XVIII wieku, że nawet krople rosy padające z mancinelli są tak jadowite, iż śpiącemu pod drzewem mogą przynieść śmierć.

Było w tym dużo przesady, tym niemniej mancinella rzeczywiście jest bardzo silnie trująca. Indianie z plemienia Karaibów sporządzali zatrute strzały maczając ich końce w świeżym soku z pnia mancinelli. Drwale ścinający to drzewo ryzykują poważnym porażeniem oczu. Na to samo narażeni są stolarze obrabiający piękne, ciemno-żyłkowane drewno.

Owoce mancinelli, przypominające dzikie jabłuszka, są śmiertelną trucizną. Drzewo to — podobnie jak palma kokosowa — rośnie tylko w sąsiedztwie brzegu morskiego, gdyż najwidoczniej wymaga określonej zawartości soli w glebie.

SZARIK WROGOM „POPĘDZI KOTA"

NA EKRANACH kin pojawiła się, ku ogólnemu zadowoleniu sympatyków 8-odcinkowa seria „Pancernych" wyświetlana w czterech zestawach, po dwa odcinki każdy. Prawdopodobnie jeszcze w tym roku potoczą się na małym ekranie, czyli w telewizji, dalsze przygody „Czterech pancernych i psa". I, być może, nie tylko psa, bo — jak się dowiadujemy — pancerny zwierzostan ma się powiększyć o kota.

Otóż jedna ze znajomych płk. Przymanowskiego zwróciła się ponoć do autora z propozycją wprowadzenia do filmu kociej postaci, a to w celu ukontentowania licznych wielbicielek tych zwierząt. A oto wypowiedź płk. Przymanowskiego:

„Natychmiast wprowadziłem kota do 10 odcinka. Czarnego. Działa po stronie przeciwnika, ale nie mogę mobilizować wszystkich zwierzaków do naszej armii".

Do czynnej walki włączy się zatem i pies, który wreszcie będzie mógł wrogom „popędzić kota".

Fotos ze znanych już wam z telewizji odcinków „Pancernych".

Halo, tu międzymiastowa

Napisała
Ł. M.
SZWAJKOWSKA
Foto WAF

Dziewczęta z Głównego Urzędu Telekomunikacji w Warszawie mogą w każdej chwili połączyć każdego obywatela naszego kraju z dowolną miejscowością na całym świecie. W urzędzie tym pracują przede wszystkim kobiety. Ich cierpliwość, opanowanie oraz głos są nieodstąpione.

O 10 NA LINII

W samym sercu Warszawy, przy zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Poznańskiej, stoi 8-piętrowy gmach. Wieczorem rozjaśnia go neon z napisem: TELEFON - TELEGRAF - POCZTA-RADIO. Niewielka tabliczka informująca, że mieści się tu „Główny Urząd Telekomunikacji Międzymiastowej" — niewiele mówi niewtajemniczonemu. Tymczasem jest to jedyny dom nie tylko w stolicy, ale i w całym naszym kraju, z którego możemy nawiązać telefoniczny kontakt z całym światem! I to bez względu na pogodę, porę dnia, czy roku. Centrale — międzymiastowa i międzynarodowa — są czynne przez całą dobę.

Tylko płeć piękna jest cierpliwa

PRZECZEKALIŚMY okres świąteczno-noworoczny i oto wybraliśmy się z wizytą do centrali międzynarodowej. Windą wjechaliśmy na któreś tam piętro. Potem w towarzystwie dyrektora Włodzimierza Skrzypkowskiego weszliśmy do ogromnej sali, w której szumiało jak w ulu. Telefonistki — jedna przez drugą — prowadziły rozmowy, oczywiście do słuchawek. Ze zdumieniem stwierdziliśmy, że wcale sobie nawzajem nie przeszkadzały. W kolejności wywoływały abonentów w różnych miastach i łączyły. Zorientowałam się, że jestem w centrali międzymiastowej. Przeszliśmy jeszcze jedną salę, hol i nareszcie byliśmy u celu naszej wizyty — w centrali międzynarodowej.

Było tu znacznie spokojniej i ciszej. Było również mniej stanowisk pracy, choć sala wcale nie była mniejsza.

Przed każdą z pań stał elegancki stolik z guziczkami, na których widniały cyfry oraz literki. Konstruktorzy tej nowoczesnej centrali (produkcja czechosłowacka — Tessla) doszli bowiem do wniosku że guziczek jest znacznie łatwiejszy i szybszy w obsłudze niż tarcza.

W centrali międzynarodowej pracuje 170 telefonistek. Jeden dyżur obsługuje około 50 pań.

— Dlaczego w tym zawodzie nie spotykamy mężczyzn? — pytamy dyrektora Skrzypkowskiego.

— Mężczyźni się nie nadają — odpowiada. — W tej pracy liczy się opanowanie i cierpliwość. A to są cechy kobiet. Dużą rolę odgrywa także głos.

Do Wiednia szybko

NA WSZYSTKICH morzach świata jednostki pływające porozumiewają się w języku angielskim, tak samo zresztą jest i w lotnictwie. W międzynarodowej łączności obowiązuje język francuski. Dlatego każda telefonistka zna ten język. Ale niezależnie od tego musi również porozumieć się w języku rosyjskim, angielskim i niemieckim. Są ponadto inne umowne „języki". Jeżeli niezrozumiałe jest dla telefonistki nazwisko abonenta względnie jego adres, to wówczas prosi o przeliterowanie. W Polsce można posługiwać się w tym celu wszystkimi imionami. Na przykład pan Kras literując będzie brzmiał: Karol, Roman, Agata, Sabina. W międzynarodowym języku obowiązują umówione miasta i wszystkie telefonistki na świecie wymieniają tylko wyłącznie te miasta. I tak pan Faruga w przeliterowaniu międzynarodowym będzie miał następujące miasta: Florencja, Amsterdam, Roma, Upsala, Galipoli, Amsterdam.

Szybkość połączenia z innymi państwami nie pozwala jednak ani na biegłości w rozmowie w obcym języku, ani też na dobrym przeliterowaniu nazwiska. Są miasta z którymi można się połączyć prawie natychmiast, ale są i takie, na które trzeba czekać. Do pierwszych zaliczają się: Praha, Moskwa, Berlin, Frankfurt, Bruksela, Kopenhaga, Amsterdam, Helsinki, Londyn, Zurich i Wiedeń. Obsługują je tzw stanowiska ruchu szybkiego, czyli po prostu automaty. Nie mamy automatycznych połączeń z Budapesztem, Sofią, Bukaresztem, Paryżem, Sztokholmem i Belgradem. Na rozmowy z tymi miastami trzeba niestety czekać. Fachowo określa się to jako stanowiska ruchu z oczekiwaniem.

Spróbuj rozwiązać

WIRÓWKA

Dookoła cyfr wpiszcie wyrazy, których znaczenie podajemy. Kierunek wpisywania — do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazów: 1 — osoba najbliższa twemu sercu; 2 — występuje na scenie; 3 — krajan, ziomek; 4 — pirat; 5 — ugoda, odstąpienie; 6 — gatunek psa maści rudej; 7 — półka na książki lub akta; 8 — pies, pierwszy pasażer sztucznego satelity Ziemi; 9 — miasto w USA nad kanałem Ohio; 10 — skanalizowane ramię delty Wisły; 11 — dawna oblężnicza machina wojenna; 12 — miasto w Estońskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej; 13 — inaczej śląz, roślina o dużych, barwnych kwiatach.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub kartce pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

W TRZY GODZINY PRZEZ ATLANTYK

LOTNICTWO PASAŻERSKIE wchodzi w nowy etap superszybkiej komunikacji. Przy dzisiejszym tempie życia dotychczasowe odrzutowce wydają się zbyt powolne, ludzie chcą podróżować szybciej niż dźwięk.

W tej chwili w pracowniach konstruktorskich powstają trzy naddźwiękowce: w Związku Radzieckim „Tu-144", o szybkości 2500 km./godz., w Stanach Zjednoczonych „Boeing-733", o szybkości 3000 km./godz. i we Francji wspólny, francusko-brytyjski „Concorde" o szybkości 2350 km/godz. Najprawdopodobniej jako pierwszy wejdzie do ruchu „Concorde". Przed kilkoma tygodniami pokazano już pierwszy prototypowy egzemplarz tego kolosa(patrz foto). Zanim jednak pierwszy seryjny samolot zabierze na pokład pasażerów, upłynie jeszcze dwa lata. Tyle czasu potrzeba bowiem na przeprowadzenie wszystkich prób eksploatacyjnych.

„Concorde" będzie zabierał 136 pasażerów, a całą szerokość Atlantyku pokona w 3 godziny! (bor)

Foto CAF

Zadzwońmy na Gwadelupę

KIEDYŚ MÓJ siostrzeniec zapragnął... bananów. Niestety w sklepach ich nie było. Nie pomogły tłumaczenia. Wytrwale nalegał, aby mu je przynieść. Wreszcie się zezłościłam i powiedziałam: a może sam je zdobędziesz. Zadzwoń na Gwadelupę, to ci przyślą.

Drwinę tę potraktował poważnie i zaczął wydzwaniać. Na szczęście nie znał numeru międzynarodowej.

Polska zalicza się do nielicznych krajów, w których rozmowy międzynarodowe są stosunkowo tanie. Wynotowałam z cennika kilka pozycji: Trinidad (wyspa na Morzu Karaibskim) — 240 zł, Fernando Po (wulkaniczna wyspa w zachodniej części Afryki) — 318 zł, Algieria — 111 zł, Chile — 360 zł, Tybrydy — 318 zł, Bombaj — 201 zł, Liban — 249 zł. Rozmowa z Nowym Jorkiem wynosi 288 zł, ale w godzinach 00 do 3.00 — 216 zł (z Nowego Jorku do Warszawy — 12 dolarów).

Klient — nasz pan

DEWIZY tej bardzo przestrzegają wszystkie panie z centrali międzynarodowej. Są miłe, uczynne i naprawdę cierpliwe. Wysłuchują różnych zwierzeń, opowiadań o przeżyciach, dobierają smutny głos do spraw smutnych, współczują, cieszą się razem z dziadkiem na wiadomość o pierwszym wnuku... itp., itp. A we wszystkich tych sprawach chodzi o jak najszybsze połączenie.

— Często wczuwamy się w sytuację naszego rozmówcy — opowiada nam p. Bożena — przyspieszamy przesyłkę lekarstwa, poszukujemy i zawiadamiamy ludzi o ważnych sprawach rodzinnych, nawet wówczas gdy nie mają telefonu. Ale często też abonenci wprowadzają nas w błąd. W naszej uciążliwej i denerwującej pracy mamy także i przyjemne chwile i miłych rozmówców. Są nawet tacy — ci co często dzwonią — którzy poznają nas po głosach.

Osioł był... kierunkowskazem

NIE TAK DAWNO — opowiada pani Hanka — Gliwice zgłosiły zamówienie na rozmowę z małą miejscowością w Austrii. Pan X chciał rozmawiać ze swoją żoną, czasowo tam przebywającą. Nie tylko, że nie miałyśmy numeru telefonu w tej miejscowości, ale także nie podano nam nazwiska posiadacza aparatu telefonicznego. Zresztą, pan X nie znał tego nazwiska. Powiedział nam za to, żebyśmy połączyły go z właścicielem osła. Początkowo potraktowałyśmy tę sprawę jako żart, ale abonent gliwicki zapewniał nas, że mówi całkiem poważnie i że sprawa nie jest tak trudna, jakby się na pozór wydawało. Otóż w tej miejscowości jest tylko jeden osioł i jeden telefon a obaj należą do jednego człowieka. Śmiałyśmy się serdecznie z tak oryginalnego zlecenia, a jeszcze większą wesołość wywołało to wśród telefonistek wiedeńskich.

Śmiech, śmiechem, ale pan X rozmówił się ze swoją małżonką i to dzięki osłowi. Bo wprawdzie osioł był jeden, ale telefonów więcej.

Kosztowny płacz

BYWAJĄ TEŻ bardzo wzruszające sceny. Łączyłam góralkę spod Krakowa — wspomina pani Krystyna — z jej siostrą mieszkającą w Stanach Zjednoczonych. Nie widziały się od 25 lat. Rozmowa przechodziła przez Brno i pośredniczyła w niej szwajcarska telefonistka, ale trudno to właściwie nazwać rozmową, bo wyglądała tak: — Maryśka? — Ja! I obie w płacz. Bez jednego słowa przepłakały 3 minuty. Szwajcarka rozłączyła je. Postanowiłam tym kobietom pomóc. Znowu zadzwoniłam do Brna. Szwajcarka uległa — połączyła, a one znowu w... płacz. Może mi pani nie wierzy, ale łączyłam je pięciokrotnie i z tym samym skutkiem.

Kłamstwo niepopłaca

GDY SIĘ ZAMAWIA „awizo" potrzebny jest bardzo dokładny adres, inaczej bowiem nie można powiadomić wzywanego, że ma być rozmowa. Kiedyś nasz warszawski abonent — opowiada p. Danusia — zamówił „awizo" do Brześcia i podał ulicę Grubego. Tak też przekazaliśmy telefonistce brzeskiej. Po jakimś czasie dzwoni do nas koleżanka z Brześcia i mówi, że u nich nie ma ulicy Grubego, ale jest ulica Tołstoja. Może to o nią chodzi? Dzwonię do warszawskiego abonenta. Okazało się, że abonent dokonał tłumaczenia i Tołstoja zamienił na „tołstyj" co rzeczywiście oznacza gruby. Było to nie zamierzone kłamstwo, ale nawet i ono niepopłaciło, bo abonent dłużej czekał na rozmowę. Sam się więc ukarał.

Cechą naszych dzwoniących rodaków — powiedziano nam na pożegnanie — jest niecierpliwość. Mogą latami nie korzystać z naszych usług, ale jak wreszcie się zdecydują, to muszą ją mieć natychmiast.

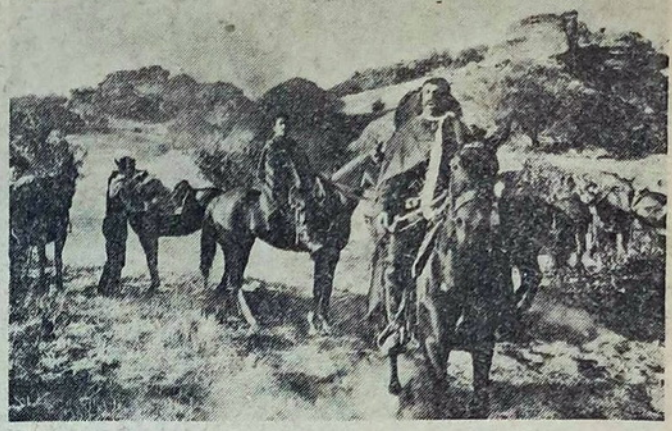

EKRAN ŚWIATA MŁODYCH

Testament INKÓW

TWÓRCZOŚĆ KAROLA MAYA w wersji ekranowej dobrze jest w Polsce znana z różnych filmów o „Winnetou". Cieszy się ona zawsze wielką sympatią młodzieżowej widowni. Pamiętając o tym, piszemy dziś o nowym filmie wzorowanym na powieści Karola Maya. Jest to „Testament Inków" zrealizowany we współpracy kilku wytwórni: bułgarskiej — NRF — hiszpańskiej — włoskiej — peruwiańskiej.

„Testament Inków" wyreżyserował austriacki reżyser George Marischka i pokusił się o bardziej ambitne pokazanie tła obyczajowego i klimatu historycznego, niż było to dotychczas w indiańskich filmach. Historia, opowiedziana w tym filmie, oparta jest o typowy dla Maya wątek szlachetnej walki o zgodę miedzy Indianami i białymi. Zwycięstwo, jak zwykle — opłacone zostaje śmiercią bohaterskiego i szlachetnego Indianina.

Film posiada międzynarodową obsadę aktorską, w której przede wszystkim należy wymienić aktora hiszpańskiego Francisco Rabale w roli bandyty Gambuzino.

Zdjęcia do „Testamentu Inków" kręcono głównie w Bułgarii, a niektóre plenery z autentycznych i legendarnych terenów zamieszkałych niegdyś przez plemiona Inków — zrealizowano w Peru.

Plenery bułgarskie okazały się bardziej „fotogeniczne" i egzotyczne od — eksploatowanych dotychczas w filmach indiańskich — terenów jugosłowiańskich. Operator filmu potrafił ze swojskich bułgarskich nizin, lasów i gór wyczarować prawdziwą egzotykę tak, że widz jest przekonany, iż został przeniesiony w autentyczne okolice peruwiańskie.

Operatorem „Testamentu Inków" jest znany w niemieckiej kinematografii Siegfried Hold, który zasłynął już wcześniej przede wszystkim ze zdjęć do filmów: „Old Shatterhand", „Skarb Azteków" i „Piramida Boga Słońca". Nic więc dziwnego, że taki specjalista od filmów przygodowo-egzotycznych wywiązał się ze swych operatorskich zadań — także w „Tajemnicy Inków" — na piątkę z plusem.

A oto krótka treść filmu:

Ostatnie plemię Inków w Peru przenosi z pokolenia na pokolenie tajemnicę o ukrytym skarbie, który pozwoli obalić panowanie białych i wypędzić ich z kraju Indian. Syn zabitego niegdyś przez białych króla Indian — młody Haukaropora, pod wpływem przypadkowo poznanej białej dziewczyny Graziellі — zaczyna jednak nabierać przekonania, że należy dążyć do zgody z białymi. Wuj Graziellі, zwany Jaguarem, był niegdyś świadkiem zabójstwa króla Indian i wyrusza na wyprawę, by nawiązać z Indianami przyjazne stosunki, a także odsłonić im tajemnicę owego zabójstwa. Jego wyprawę stara się uniemożliwić bandyta Gambusino, zabójca króla, który czyha na legendarny skarb Inków. Chcąc go odnaleźć, nawiązuje z Indianami kontakt, sprzedając im broń i udając ich przyjaciela. Jaguar jednak odkrywa niecne plany Gambusino i wyjaśnia Indianom, kim jest ten bandyta. Indianie jednak są nieufni. Nie wierzą Jaguarowi i nie chcą zgody z białymi. Jedynie młody syn zabitego indiańskiego króla nie chce dopuścić do wojny z białymi. Zostaje zgładzony przez rozgniewanego idiańskiego arcykapłana. Z jego śmiercią ginie ostatni przedstawiciel rodu Inków, który mógłby poprowadzić wojnę przeciw białym. Indianie muszą więc zawrzeć pokój.

◆

„Testament Inków" został opracowany w polskiej wersji językowej. Usłyszycie w nim głosy polskich aktorów, takich jak: Czesław Byszewski, Tadeusz Bartosik, Aleksander Dzwonkowski i inni.

Nim spotkacie się w kinie, obejrzyjcie niektóre fotosy z tego filmu.

A. WIELGOŁAWSKA
Foto: CWF

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4,00, kwartalna 12,00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze, wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Adres redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24.
Zam. 14. N-03